




dr Jacek Saryusz-Wolski

POLITYKA SĄSIEDZTWA
UNII EUROPEJSKIEJ
I PARTNERSTWO WSCHODNIE

Warszawa, 2011



Polityka sąsiedztwa stanowi dużą część polityki zagranicznej Unii Europejskiej a jej znaczenie stale rośnie. W zawiązku z tym nasuwa się pięć podstawowych pytań.

Po pierwsze: jak definiujemy politykę sąsiedzką? Po drugie: jakie są jej wymiary? Po trzecie – pytanie o bilans, zwłaszcza w świetle tąpnięć politycznych na południowej granicy Unii, oraz rozwoju Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu. Z niepokojem obserwujemy też porażki procesu demokratyzacji w krajach na wschód od Unii. Po czwarte: jakie stoją przed nami wyzwania? Na koniec zostawiam odpowiedź na pytanie o perspektywy tejże polityki.

Podstawowym celem strategii UE jest zdzierżgnięcie jak najściślejszych związków z sąsiadami. Definicja krajów sąsiedztwa jest wyczerpująca – Unia wymienia te kraje z imienia: Maroko, Algieria, Tunezja, Libia, Egipt, Jordania, Syria, Liban, Palestyna, Izrael, Azerbejdżan, Armenia, Gruzja, Mołdawia, Ukraina i Białoruś. Mówiąc obrazowo, to są flanki: południowa i wschodnia. Ta pierwsza jest starsza, bo to tworzą ją sąsiedzi Unii, sprzed jej rozszerzenia na kraje Europy Środkowo-Wschodniej. Rosja, granicząca z Unią przez Kaliningrad, nie chce być częścią tej grupy i domaga się specjalnego statusu w stosunkach z Unią.

Polityka sąsiedzka ma swoje podstawy prawne. Odwołuje się do niej artykuł 8 Traktatu o Unii Europejskiej, który mówi, że z tymi krajami Unia prowadzi specjalne stosunki. Chodzi o bogactwo instrumentów i intensywność wzajemnych relacji.


Te dwa sąsiedztwa są różne nie tylko geograficznie, ale przede wszystkim kulturowo-cywilizacyjnie. Tu warto odwołać się do punktu 49 Traktatu. Jego lektura prowadzi do wniosku, że wszystkie kraje sąsiedzkie coś z Unią coś łączy, ale stosunki na wschodzie są podwójnie specjalne, mają szczególną specyfikę. Artykuł 49 mówi, że każdy kraj europejski, który podziela cele integracji oraz spełnia europejskie kryteria, może aplikować o członkostwo w Unii. Ten artykuł - co warto podkreślić - pozostał niezmienny od Traktatów Rzymskich.

Czasem pojawiają się też pytania, dlaczego mielibyśmy traktować kraje zza wschodniej granicy Unii w sposób specjalny. Otóż przede wszystkim ze względu na tragiczny, jałtański podział kontynentu, kiedy byliśmy odcięci od świata i zapomniani. Dotychczasowa polityka w wymiarze wschodnim była prowadzona nie tyle nieumiejętnie, ile z pewnym deficytem wiedzy na temat naszych krajów. Przed przystąpieniem Polski do UE mało kto w Europie Zachodniej wiedział, że Ukraina i Białoruś to osobne państwa, a nie część Rosji. Nie wspomnę już o republikach południowo-kaukaskich. Kiedy Unia zaczęła z nami negocjować - najpierw w 1991 r. układ stowarzyszeniowy, a potem członkostwo - traktowała nas wedle schematu stosowanego wobec krajów rozwijających się. Dosłownie, bo ekipa, która zajmowała się nami przed akcesją, złożona była z urzędników przesuniętych z departamentów współpracujących wcześniej z krajami Afryki i Ameryki Łacińskiej. Dzięki naszym historycznym doświadczeniom nauczyliśmy Unię nowych pojęć, takich jak transformacja (transition). Mamy to już za sobą.

Jednym z kluczowych problemów, jeśli chodzi o politykę sąsiedzką traktowaną jako całość, jest problem, który Francuzi określają nieprzetłumaczalnym słowem „finalité”. Chodzi o określenie, co ma być ostatecznym celem polityki sąsiedzkiej. Członkostwo, czy jakieś bliskie stowarzyszenie, ale z wykluczeniem członkostwa? Pytania się mnożą, a odpowiedzi brak.

Są również pytania o metodę. Fundamentalną, stosowaną dawniej przez Europejską Wspólnotę Gospodarczą, była metoda Jean Monnet'a, polegająca na małych, częściowych krokach, prowadzących do coraz ściślejszej integracji gospodarczej, politycznej i społecznej. Stosowano też zasadę warunkowości, to znaczy uzależniano politykę europejską od reakcji krajów, których ta polityka dotyczy. Klasycznym zapisem zasady warunkowości były sławne kryteria kopenhaskie, których spełnienie pozwalało pukać do drzwi Unii.

Równie istotne jest rozstrzygnięcie, kto prowadzi politykę sąsiedzką. Wydaje się, że odpowiedź jest oczywista: cała Unia.



Rzeczywistość jest jednak dość skomplikowana. W powszechnym odczuciu politykę wschodnią prowadzi Europa Środkowa, a polityką wobec krajów basenu śródziemnomorskiego zainteresowana jest przede wszystkim Europa Południowa. Była nawet próba zdefiniowania tych interesów – mówiono o Procesie Barcelońskim, a Nicolas Sarkozy wypowiadał się wprost o utworzeniu Unii Śródziemnomorskiej. Potem, w wyniku dyskusji pojawiło się określenie Unia dla Śródziemnomorza. Nigdy jednak nie zostało doprecyzowane, na czym ma polegać ten szczególny związek. Jedynym efektem było powstanie specjalnego sekretariatu, nie w ramach Komisji Europejskiej, lecz osobno, w Barcelonie. To stało się jedną z przyczyn fiaska tej inicjatywy. Bo polityki sąsiedzkiej nie da się prowadzić w oderwaniu od całej Unii. W konsekwencji słusznie zdecydowano, że to cała Unia stała się podmiotem tej polityki.

W kontekście dwóch wymiarów – wschodniego i południowego – polityki sąsiedzkiej trzeba postawić pytanie o koncepcję i o wolę polityczną dla zrealizowania tej koncepcji. W tych dziedzinach mamy kryzys. Rzeczywistość wygląda dobrze tylko na papierze. Zanim przedstawię źródła i przejawy tego kryzysu, niezbędna jest uwaga generalna. Otóż historia Unii – mówiąc obrazowo – toczy się od kryzysu do kryzysu. To one napędzają dynamikę zmian, które ostatecznie wszystkie mają postępowy charakter. Na przykład obecne załamanie gospodarcze doprowadziło do radykalnej zmiany – przechodzimy od unii monetarnej do ekonomicznej. Będziemy harmonizowali politykę budżetową i fiskalną, co do tej pory było domeną poszczególnych rządów.

Mam nadzieję, że z kryzysu polityki sąsiedzkiej też wyniknie coś dobrego. Nie zapominajmy, że proces rozszerzania Unii nie jest jeszcze zakończony. Wkrótce przyjmujemy całe Bałkany Zachodnie. Pytanie o ostateczne granice Unii pozostaje nadal otwarte.

Jeśli chodzi o niedomogi i błędy polityki sąsiedztwa, to w powszechnym odczuciu – mam na myśli media i europejską opinię publiczną – politykę tę rozumiano jako swego rodzaju filantropię – charity.

To znaczy: Unia wspiera swoich sąsiadów z pobudek moralnych. Pułapką takiego myślenia jest postawa wyższości i braku partnerstwa we wzajemnych relacjach. Pierwszą reakcją Brukseli na kłopoty z sąsiadami jest na ogół stwierdzenie: musimy dać więcej pieniędzy. Na przykład w kontekście przebudzenia arabskiego, które kompletnie zaskoczyło Europę, dziwiono się: czyżbyśmy byli za mało hojni?

Nie trzeba długo wyjaśniać, jak błędna jest to postawa. Bo przecież polityka sąsiedzka wiąże się z szeroko rozumianymi interesami UE. Jej celem jest budowa stabilnego, demokratycznego, wydolnego ekonomicznie otoczenia. Dodatkowym kontekstem dla oceny polityki sąsiedzkiej jest to, że – dla wyraźniejszego obrazu trochę przerysuję – na wschodzie polityka ta znajduje się w odwrocie, na południu obserwujemy polityczne trzęsienie ziemi, a jednocześnie dopiero rodzi się długo oczekiwana wspólna polityka zagraniczna UE, wraz ze wspólną europejską dyplomacją. Wiążących z nią wielkie oczekiwania póki co spotyka zawód.

Polityka sąsiedzka stanowi również test dla polityki zagranicznej Unii. Jeśli Unii nie uda się w jej najbliższym sąsiedztwie, to wszelkie ambicje Europy jako podmiotu i aktora na globalnej scenie pozostaną w sferze marzeń. Bo najpierw trzeba sobie poradzić z własnym otoczeniem, a dopiero potem można być graczem globalnym. Chyba wciąż prawdziwe jest określenie, że Europa jest global payer, ale nie player – jest płatnikiem, ale jeszcze nie graczem.

Kolejną cechą polityki sąsiedzkiej, różnej od uprawianej wobec reszty świata, oraz tzw. polityk horyzontalnych (w takich dziedzinach, jak klimat, energia, ubóstwo, terroryzm, etc.) jest to, że są one kompilacją polityki zewnętrznej i wewnętrznej. Z sąsiadami łączą nas takie sprawy, jak polityka wizowa, migracyjna, bezpośrednio wpływają na nas pewne wymiary ich polityki wewnętrznej, takie jak wymiar sprawiedliwości, poszanowanie praw człowieka, etc. Relacje kontraktualne, które łączą Unię z tymi krajami, mają charakter układów o stowarzyszeniu, partnerstwie, współpracy. To oznacza, że nasi partnerzy przejmują pewne fragmenty porządku

prawnego UE – od umów o wolnym handlu po unię celną.

To wszystko dzieje się w kontekście arabskiego przebudzenia na południu, a w wymiarze wschodnim - w przestrzeni postsowieckiej i euroazjatyckiej.

Wymiary polityki sąsiedzkiej

Po pierwsze nasze sąsiedztwo kształtowane jest przez pewną wspólnotę losu. Obszary na południu były kolonizowane i eksploatowane przez Europę. Chciałoby się powiedzieć: i vice versa, co przypomnieli swego czasu np. Marokańczycy – wnioskując o przystąpienie do Unii argumentowali, że kiedyś byli pod Poitiers. Kultura Hiszpanii jest przecież pod wpływem kultury Maurów... A imperium rzymskie? Przecież do złudzenia, choć nieprecyzyjnie, przypominało dzisiejsze rozszerzenia Unii Europejskiej. Nawet Wielka Brytania, trochę taka outside – jak ówczesny mur Hadriana. Do dzisiaj to zawieszenie pozostało. To jest właśnie wspólnota losu. Na wschodzie też. Rosja przedrewolucyjna, choć związana z bizantyjską kulturą, złączona była z Europą wspólnym rdzeniem - chrześcijaństwem.

Drugim wyznacznikiem polityki sąsiedztwa jest wspólnota wartości. Mimo różnic religijnych czy kulturowych i tak jesteśmy sobie bliżsi, chociażby przez to, że się dłużej znamy, niż w przypadku krajów Azji. Jedną z europejskich projekcji, także w aspekcie sąsiedztwa, jest przekonanie, że naszą misją jest zaszczepianie naszych wartości na zewnątrz, czyli przesuwanie granic Europy w sensie cywilizacyjnym. I tak mówimy dziś zbuntowanym Arabom: przyjmijcie nasze wartości. A oni odpowiadają: one nie są wasze, są uniwersalne. To dotyczy także wymiaru społecznego. Unia nie rozumie swoich południowych i wschodnich sąsiadów i z tego braku zrozumienia wynikają polityczne błędy. Francuzi, Brytyjczycy, Włosi, Hiszpanie nie lubią słuchać o dziedzictwie kolonialnym. My, z Europy Środkowej mówimy im: w zasadzie płacimy dziś długi za tamten czas. Prowadziliście politykę wspierania reżimów, paternalistyczną, nieskuteczną, nie liczącą się ze społeczeństwami, która nie


prowadziła do transformacji społecznej ani ustrojowej i dzisiaj macie sytuację, na którą zasłużyliście. Spróbujcie wykorzystać naszą wiedzę nt. procesu transformacji. Tej, którą ze zmiennym powodzeniem – przynajmniej to – stosujemy sami na Wschodzie. Porzućcie urzędniczy żargon na rzecz wsparcia procesu pobudzającego społeczną wyobraźnię, mobilizującego do obywatelskiego działania.

Kolejnym czynnikiem jest wspólnota interesów. To wszystko łączy nas z sąsiadami w większym stopniu niż z innymi krajami. Skoro tak, to wydarzenia u naszych sąsiadów wpływają też na bieg spraw w UE. Wyraził to bardzo trafnie przewodniczący Komisji Europejskiej Barroso, mówiąc, że albo będziemy płynęli razem albo utonimy z osobna. Mówił co prawda o współdziałaniu wewnątrz, ale to wyrażenie dobrze obrazuje także relacje sąsiedzkie Unii. Jeżeli nie będziemy w pewnych obszarach współdziałali, to my, Unia, również na tym stracimy.

Wymiar ekonomiczny to silne strumienie handlowe, przepływy towarów, usług i kapitału. Mamy strefy wolnego handlu o różnym stopniu powiązań. Ma być także zharmonizowana podstawowa tkanka regulacji życia gospodarczego. Proponuje się też, a dokładnie chodzi o pomysły niemieckiej chadecji, by zamiast przyjmować Turcję, związać ją takimi układami jakie ma z Unią Norwegia czy Szwajcaria.

Z sąsiadami wiążą nas też przepływy finansowe publicznych środków unijnych, czyli po prostu pomoc. W perspektywie 7-letniego planu finansowego na naszych sąsiadów wydajemy 12 mld euro. Na dalekomorskie kraje postkolonialne Afryki, Karaibów i Pacyfiku przeznaczamy 26 mld, a 16 mld kierujemy do Ameryki Łacińskiej i Azji. Jak na wagę unijnej polityki sąsiedztwa, to jest to stosunkowo mało. Cały budżet roczny Unii to blisko 140 mld euro – gdy to pomnożyć przez siedem, mamy pełen obraz...

Niedawno, podczas sesji w Brukseli, odbyła się – w kontekście arabskiego przebudzenia – dyskusja, dokąd kierować środki. W liście, który wystosowało do pani Ashton sześciu ministrów spraw zagranicznych (Francji, Hiszpanii, Malty, Słowenii,



Grecji i Cypru), domagano się zmiany proporcji pomocy w polityce sąsiedztwa, tj. zwiększenia środków na południe, a ograniczenia na wschód. Ilustrowano to argumentem, że w przeliczeniu na jednego Egipcjanina pomoc wynosi 1,3 euro per capita, a dla Mołdawianina – 25 euro. To bałamutny argument, ponieważ cała pomoc na wschód w przeliczeniu na jednego mieszkańca wynosi średnio per capita 3,6 euro, a na południe 3,3 – czyli mniej więcej równo. Te 12 mld dzieli się w proporcji dwie do jednej trzeciej, bo taka jest proporcja populacji i wielkości tych dwu sąsiedztw. Gdybyśmy porównali to z subsydiami na głowę dotowanej unijnej krowy, to pewnie wyszłoby więcej. To tylko jest świadectwem tego, że polityka ta jest strukturalnie niedofinansowana.

Pozostaje jeszcze wymiar geopolityczny. Nim przede wszystkim motywowana była idea przyjęcia Turcji – swego czasu podnoszona, a dziś osiadła na mieliźnie. Europa była przekonana, że stabilność w tym regionie decyduje o bezpieczeństwie Unii: ważną rolę w odstraszeniu ZSRR pełniła 700-tysieczna armia turecka (nadal pełni strategiczną rolę w siłach NATO).

Gdzie jesteśmy i co przed nami?

Europosłowie głosowali nad raportem nt. polityki sąsiedzkiej, przygotowanym przez Komisję Spraw Zagranicznych UE. Wiadomo, że wstępne założenia i cele tej polityki nie zostały osiągnięte, trzeba więc dokonać jej rewizji i przewartościowania. To będzie trudne, bo dyskusja dotyczy między innymi tego, na ile stosować jednolite instrumenty wobec wszystkich sąsiadów, a na ile je różnicować. To wiąże się z tzw. standardami demokratycznymi. Weźmy przykład Turcji, która z perspektywy Unii nie jest państwem w pełni demokratycznym, szanującym prawa człowieka, czego przykładem jest traktowanie chrześcijan, opozycji i Kurdów. Ale ten sam kraj z perspektywy Afryki jest udanym przykładem demokracji islamskiej. To rodzi pytanie, jak pełnej demokracji i respektowania praw człowieka należy wymagać od sąsiadów UE? Mamy także doświadczenia z Białorusią: odwilż w relacjach nie przynosi oczekiwanych skutków; sankcje – też

nie. A jak traktować Rosję? Unia stosuje wobec niej taryfę ulgową, jeśli chodzi o przestrzeganie praw człowieka. Tego głośno się nie mówi, ale dylemat jest. Czy mamy zaakceptować pomysł modernizacji postsowieckiego porządku autorstwa tandemu Putin – Miedwiediew, który pomija modernizację społeczną i polityczną?

Nowym elementem polityki sąsiedztwa, wprowadzonym przy okazji narodzin polityki partnerstwa wschodniego, jest stworzenie wokół Unii kręgu dobrych sąsiadów-przyjaciół, którzy są przyjaciółmi również między sobą. To jest właśnie wartość dodana tej polityki. Chcemy przesunąć granice w sensie cywilizacyjnym. Oczywiście, że to jest trudne, wystarczy przywołać stan relacji między Palestyną a Izraelem, czy Armenią i Azerbejdżanem. Zasadą polityki powinno być jednak równanie w górę, czyli do standardu europejskiego. Wzajemne relacje naszych sąsiadów powinny być ważnym kryterium oceny danego kraju. I tak umowa o wolnym handlu z Unią powinna skutkować podobnymi porozumieniami między naszym partnerem a jego sąsiadami.

W jakim kierunku należy zmieniać politykę sąsiedzką?

Po pierwsze należy skończyć z zasadą krótkiej kołdry, gry o sumie zerowej, czyli myślenia, że im więcej mamy środków na południe, tym mniejszy strumień pieniędzy popłynie na wschód i odwrotnie. Takie rozumowanie grozi niemocą, w jakiej właśnie tkwimy. Oba wymiary sąsiedztwa zasługują na traktowanie syetryczne. Można też nawzajem zapożyczać instrumenty dla prowadzenia tej polityki, wedle unijnej metody „best practices”. Po drugie polityka południowa wymaga fundamentalnej zmiany. Nie wolno, jak dotąd, utożsamiać „status quo” ze stabilnością. Taki błąd robiła kiedyś niemiecka SPD wobec Polski Ludowej. Potrzebna jest zmiana paradygmatu: Unia powinna przyznać, że podmiotem wzajemnych relacji i przedmiotem naszej polityki są przede wszystkim społeczeństwa, a nie rządy. Że nam chodzi o standardy i wartości, a nie tylko o interesy ekonomiczne. Potrzebne jest wypracowanie metod zarządzania zmianą i zmiana hierarchii wartości.

Partnerstwo wschodnie

Polityka sąsiedzka Unii na wschodzie przeżywa kryzys. Także dlatego, że nie ma zgody co do dalszego rozszerzania Unii na Wschód. W raporcie Komisji Spraw Zagranicznych z polityki wschodniej wykreślono słowo członkostwo, pozostawione sformułowania są niejasne, choć kreśli się tak zwaną europejską perspektywę i wspomina o artykule 49 TEU. Mamy ostry spór i podział w Parlamencie. Europejskie Niemcy są przeciw rozszerzaniu Unii na wschód, my z Europy Środkowej – za. Rodzi się kompromis polegający na tym, aby kwestie członkostwa pozostawić otwarte, na później, a w międzyczasie rozbudować i wzbogacić politykę sąsiedzka. My dodajemy: taką politykę, która doprowadzi do integracji. A gdy minie unijne zmęczenie rozszerzeniem (kto wie, może za 15 lat?) wrócimy do sprawy. Właśnie ze względu na wyzwalanie dynamiki zmian w krajach kandydujących, prowadzenie polityki sąsiedztwa z członkostwem na horyzoncie byłoby dużo łatwiejsze. Czas jest istotny, czego przykładem jest Ukraina, która dziś na drodze do Unii jest politycznie dalej niż była w 2004 r. Negocjacje idą opornie, choć reformatorski rząd „niebieskich“ robi więcej, jeśli chodzi o gospodarkę, niż mający pełne usta Europy rząd „pomarańczowych“. To gorzkie, ale prawdziwe.

W kwestii integracji z Unią naszych wschodnich sąsiadów zawiodły obie strony. Tamte społeczeństwa okazały się zbyt „postsowieckie“, ale my – Unia – też jesteśmy zbyt opieszali, niewystarczająco szczodrzy, za bardzo się wahamy. No i nie mówimy jednym głosem. Daliśmy się podzielić. Prowadzimy różne polityki wobec Wschodu, zależnie od krajowych interesów. Są kraje, które kosztem całej Unii, nawiązują ściślejsze związki z Rosją. To jest problem włoski, niemiecki, austriacki, i pod poprzednimi rządami – węgierski i bułgarski. Rosja jest niechętna i pełna podejrzeń wobec unijnej polityki sąsiedztwa na wschód. Nie mówi tego głośno, ale Kreml robi wszystko, żeby ją zablokować, traktując ten region jako strefę swoich wpływów i polityki postimperialnej. Nie rozumie, że Unia jest dobrowolnym stowarzyszeniem krajów. Każdy stuka i prosi o wejście, a Unia nie najeżdża innych, co

jest europejskim novum w skali tysiąclecia. UE wpływa transformująco na swoje otoczenie. To jest ta miękka siła, softpower Europy w odróżnieniu od metod hard power. Pytanie tylko, jak daleko ta siła transformacyjna może działać? Czy przeniesienie standardów europejskich na Białoruś, Ukrainę, Mołdawię, Południowy Kaukaz może mieć wpływ na demokratyzację Rosji?


Czasem padają pytania, jakie znaczenie dla zwykłego obywatela Unii ma jej rozszerzenie? Przede wszystkim taki, że będzie bezpieczniejszy i bogatszy. Bo takimi stali się obywatele „starej“ Unii po naszym wstąpieniu. Europa zachodnia po rozszerzeniu w 2004 r. miała wyższy dodatkowy przyrost PKB niż wynosiły dotacje dla nowych członków. Ten sam efekt może wystąpić po przyjęciu sąsiadów ze Wschodu. Nie zapominajmy, że Europa demograficznie umiera. A więc po rozszerzeniu powiększyłby się potencjał ludnościowy, nie mówiąc o większym rynku.

Elementem polskiej racji stanu jest przyjęcie do Unii Ukrainy, ale nie zapominajmy, jakim wyzwaniem dla polskiego rolnictwa będą ukraińskie czarnoziemy i jak wielki byłby apetyt Ukrainy na fundusze unijne.

Rola prezydencji

Czy są jakieś powody do optymizmu w kwestii Partnerstwa Wschodniego? Tak, ponieważ poważne potraktowanie polityki sąsiedzkiej jest ambicją następujących po sobie prezydencji węgierskiej w UE i prezydencji polskiej. Chcielibyśmy, aby te dwie prezydencje wniosły nowe elementy, a przede wszystkim tchnęły w Unię nowego ducha. Pierwsze elementy już są: komisarzem ds. polityki sąsiedzkiej jest Czech Stefan Fule. Przygotował on dokument, którego – śmiem twierdzić – nie stworzyłby żaden zachodnioeuropejski polityk. Jest tam program dostosowania polityki sąsiedzkiej do społeczeństw, a nie rządów. Postuluje się kontakty na szczeblu obywatelskim: młodzieżowe, związkowe, biznesowe, kulturalne, itp. Dotyczy to oczywiście wszystkich sąsiadów Unii.

Partnerstwo wschodnie jest priorytetem polskiej prezydencji. Będzie to pierwsza



„duża” prezydencja w całości „pod rządami” Traktatu Lizbońskiego. Jeśli przeprowadzimy ją dobrze, nasze wpływy i rola będą rosły. Silniejsze będą prestiż i pozycja Polski. To się naprawdę liczy, bo w Unii wciąż myśli się o nas z pobłażaniem i traktuje się jak nowicjuszy.

Za naszego przewodnictwa, we wrześniu, odbędzie się szczyt Partnerstwa Wschodniego, z udziałem 6 krajów sąsiedzkich. Chcemy nadać dynamikę temu partnerstwu, ale musimy to robić bardzo umiejętnie, bo jeśli skoncentrujemy się wyłącznie na kontaktach ze Wschodem, to przegramy. Trzeba dbać o całość interesów Unii, także Południa. Próba wykorzystania sześciu miesięcy dla załatwienia polskich spraw, będzie najkrótszą drogą do klęski. Sztuka polega na tym, żeby polskie interesy i punkt widzenia wpleść w politykę całej Unii i zdefiniować jako interes ogólnoeuropejski. Polski bagaż myślenia trzeba załadować na statek pod nazwą Unia Europejska. Bo polska polityka wschodnia wiedzie przez Brukselę. Zadaniem naszej prezydencji jest podniesienie postulatów partnerstwa wschodniego na wyższy europejski poziom. Jeśli to się uda, będzie bardzo trudno następnie zatrzymać te zmiany. Bo w Unii raz uruchomiony proces, toczy się dalej mocą własnego rozpędu. Szybciej, wolniej, ale postępuje. I na tym trzeba budować.